

Bolesławskie Zeszyty Historyczne

Zeszyt nr 4

**Gmina Bolesław
pod okupacją hitlerowską
1939 - 1945**

Opracował Józef Liszka

Gminny Ośrodek Kultury w Bolesławiu
1997

Wstęp

W zeszycie czwartym kontynuujemy druk wspomnień okupacyjnych mieszkańców gminy Bolesław i okolicy. W drugiej części zamieściliśmy wykazy partyzantów z terenu dawnej gminy opracowane przez Henryka Czerniaka i Stanisława Głowackiego – byłych członków AK mających rozeznanie w działalności partyzantki na naszym terenie – uzupełnione osobami wspomnianymi w materiałach pamiątkowych po Gerardzie Woźnicy ps. “Hardy”. Przy opracowaniu wykazów korzystano również z pracy magisterskiej Krzysztofa Miszczyka.

Zdajemy sobie sprawę z tego, że wykazy partyzantów są niepełne. Nie ujętych w wykazach i ich rodziny z góry przepraszamy. Od zakończenia wojny minęło ponad pół wieku, brak pełnej i uporządkowanej dokumentacji, sporo ludzi wojennego pokolenia już od nas odeszło na zawsze, a i pamięć ludzka po tak długim okresie zawodzi. W takiej sytuacji zwracamy się do Czytelników z usilną prośbą o kierowanie swych uwag, na piśmie z uzasadnieniem, do Gminnego Ośrodka Kultury w Bolesławiu. Umożliwi nam to opracowanie i wydanie aneksu do zeszytu czwartego.

Trzeba było żyć

– wspomina Franciszek Żulichowski

Niemcy pilnie obserwowali każdego, co kto robi i z czego żyje. Miałem i mam dotąd kawałek pola, około 20 arów, więc byłem zarejestrowany jako rolnik. Kupiłem prosiaka, ażeby mieć trzodę chlewną oraz obornik. Był to rok 1940. Późną wiosną tego roku Niemcy urządzili kilkugodzinny kurs dla rolników. Ja również byłem obecny na tym kursie i muszę przyznać, że niemieccy rolnicy (bauerzy) mieli bardzo duże doświadczenie w tej dziedzinie. Po takim kursie moim obowiązkiem było pouczać miejscowych rolników o sposobie uprawy,

nawożenia itd. Do mnie również należało, łącznie z komisją, szacowanie wysokości urodzajów na pniu z ha. Praca ta była dla mnie zbyt ryzykowna. Jako miejscowy starałem się szacować jak najniżej, ażeby właścicielowi przypadło jak najmniej do oddania. Mogłem za to, że działałem na szkodę Niemców, znaleźć się w Oświęcimiu. Pewnego dnia szacowałem żyto, które było bardzo ładne. Zgodnie z zarządzeniem należało oszacować najmniej dwanaście z hektara. Właściciel pola zaczął mnie prosić, ażebym nie szacował zbyt wysoko, że ma liczną rodzinę itd. Myślę sobie, szkoda człowieka, oszacowałem i wpisałem do arkusza sześć z hektara. Patrząc, idzie w moją stronę Kreumaner, główny zarządca od tych spraw. Znając go jako Polakożercę myślę sobie: "Jeżeli zajrzy do arkusza spisowego, zobaczy że wpisałem 6 kwintali z hektara, a nie conajmniej dwanaście, jeżeli przyjdzie mu chęć zobaczyć inne pola, będę miał z tego przykrą sprawę, nie mając możliwości usprawiedliwienia, mogę się znaleźć w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu czy Dachau. Ciarki mi przeszły po skórze, jak by mnie kto zimną wodą oblał. Trzeba będzie wiać do lasu jeśli mnie z miejsca nie zamkną. Namyślałem się co robić i jak się tłumaczyć. A było to w niewielkiej odległości od dużego budynku, w którym mieścił się Urząd Gminy Bolesław. Patrząc, jedzie na rowerze w naszą stronę jakiś chłopak, zatrzymuje Kreumanera i coś mu mówi, on się odwraca i idzie w kierunku Urzędu Gminnego. Kiwnąłem ręką na chłopaka i pytam gdzie poszedł Kreumaner. Chłopak mi wyjaśnił, że komisarz gminy go wysłał, ażeby zawołał Kreumanera do urzędu. Ochłonąłem myśląc: "Jednak los jest sprawiedliwy i czuwa nad człowiekiem".

Po żniwach przyszło kopanie ziemniaków, lecz z tego się nie taksowało w polu lecz w piwnicy lub w dole. U mnie w domu zaczynało być krucho. 50 marek jakie żona pobierała było o wiele za mało, ażeby za to żyć. Różne prace społeczne nie dawały nic, trzeba było wynaleźć jakieś źródło dochodu. Otrzymałem z gminy odpowiednie formularze, na których założyłem kartotekę wszystkich rolników z Bolesławia. Każdy rolnik miał swoją kartę, w której była wskazana powierzchnia

ziemi uprawnej oraz łąk, ilość inwentarza żywego, trzody chlewnej itp. Każdy rolnik z tego terenu, ażeby zakupić kwalifikowane zboże do siewu, musiał przedłożyć wystawione przeze mnie zaświadczenie o ilości uprawianej ziemi oraz, że oddał wyznaczony kontygent. Późną jesienią, już po zbiorach, miejscowe władze niemieckie nierzadko zarządzały rewizje u rolników, czy czasami nie posiadają więcej płodów rolnych niż przewidują przepisy. Bardzo często mnie przydzielano tę funkcję, dodając mi do asysty jednego szkopa żandarma, który nie rozumiejąc naszego języka chodził jak machina.

Pamiętam takie wypadki, gdy trzeba było wspinać się na strych po byle jakiej drabinie. Widząc pokrzywioną i byle jaką drabinę mówi do mnie, ażebym ja sam szedł na strych, bo on się po takiej drabinie wspinać nie będzie, a mnie na tym właśnie zależało. Wyszedłem na strych, patrzę w kącie stoją trzy beczki, zaglądam do jednej pełno żyta, w drugiej i trzeciej to samo. Mówię do chłopca, macie szczęście, że żandarm tego nie widzi, bo już by to żyto nie było wasze. Pouczam go, żeby do beczek ze zbożem wsypał na wierzch plew, żeby nie było widać ziarna. Z ziemniakami było to samo. Wehodzię do piwnicy, a tu przyzma ziemniaków, aż pod samo sklepienie. Mówię do chłopca, że wg. zarządzenia winno być u was tylko tyle, a tyle, a ja widzę, że jest 3 razy tyle. No jakże mam ukryć ziemniaki, przecie to nie mąka. Człowieku, mówię, ja mam was pouczać jak ukryć. Wykopać dół, do niego wsypać ziemniaki. Nikomu na myśl nie przyjdzie, że pod kupą ziemniaków jest dół. Całe szczęście, że żandarm nie znalazł języka polskiego i nie był zorientowany w normach.

A było i tak, że chłop zabił cielę. Pech chciał, że żandarm zajrzał do komory, zobaczył dwie połówki cielaka i mówi do mnie, co to znaczy. Mówię do chłopca, odkrójcie kawałek cielęciny, dajcie żandarmowi, a ja na ten czas rzekomo wyjdę do ustępu. Żandarm schował mięso do torby, ażebym ja nie widział, wilk był syty i owca cała. Kończyła się jesień, wyjątkowo ciepła i pogodna w tym roku. 50 marek, które żona otrzymała za swą pracę było o wiele za mało, ażeby z tego żyć.

Wiedziałem, że w magazynach spółdzielni są duże zapasy pięknego afrykańskiego prosa, czerwonego lnu, rzepaku i słonecznika. Był wówczas magazynierem Niemiec nazwiskiem Sznura, niezły chłop, dobrze mówił po polsku. Pomyślałem sobie, może da się kupić pewną ilość prosa, z którego można zrobić kaszę. Pewnego dnia zapytałem magazyniera, czy mógłbym kupić prosa, nie do siewu, bo już spóźniona pora, lecz na kaszę. O ja – mówi Sznura – możecie kupić wiewa ino chcecie. Jest przecie pełny magazyn i nie wiem co mam z tym zrobić bo nikt nie kupuje. Powstał drugi problem, skąd wziąć taki młynek. Od czego głowa na karku, przecież niegdyś byłem ślusarzem i zawód ten nie jest mi obcy, lecz do tego są mi potrzebne narzędzia ślusarskie i maszyny: tokarka, wiertarka i inne narzędzia, których mi brak. W związku z tym skontaktowałem się ze ślusarzem, który pracował w fabryce braci Szajn w Sławkowie. Szczególnie jeden z nich, dobry ślusarz i tokarz, mój dobry przyjaciel Michalski, podjął się wykonać taki młynek wg. mojego projektu i szkicu. W ciągu tygodnia młynek był już gotów, próba wypadła bardzo dobrze. Po oddzieleniu łusek przy pomocy sporządzonej dmuchawki, kasza była wspaniała. Nie ma obawy – mówię do żony – nie umrzemy z głodu, prosa w magazynie jest pod dostatkiem, wystarczy do końca wojny. I rzeczywiście moja kasza jaglana zasłynęła w okolicy. Oczywiście było to w wielkiej tajemnicy przed Niemcami. Wiedział tylko o tym magazynier Sznura, który także brał ode mnie kaszę. Ktoś dowcipny ułożył wiersz pod tytułem "Kasza jaglana".

Z tłuszczem i mięsem było bardzo skąpo. Przydziały na kartki były bardzo niewielkie. Trochę margaryny i niewielkie ilości mięsa. Bez tłuszczu i białka długo się nie pociągnie. Wiedziałem, że w magazynie niemieckim dużo jest nasion oleistych, jak już wcześniej wspomniałem, których mogę kupić każdą ilość bez większych trudności. Musi do tego być prasa prosta w obsłudze i łatwa do ukrycia na wypadek rewizji czy przed ciekawskimi. Wykonanie takiej prasy wymagało już bardziej skomplikowanych czynności. Sporządziłem odpowiedni szkic z dokładnymi wymiarami i znowu poprosiłem

o pomoc ludzi pracujących w Sławkowie. Trzeba przyznać, że w czasie okupacji hitlerowskiej było wielkie zbratanie się Polaków przeciwko okupantowi. Mieliśmy wszyscy jednego wroga, jakim był faszyzm niemiecki. Prasa, o której wspomniałem wyżej nie była podobna do dużych pras stosowanych na dużą skalę w przemyśle. Była to prasa bardzo mała. Całość była tak pomyślana, że w każdej chwili można było przerwać wykonywaną czynność i usunąć w bezpieczne miejsce nawet nakrywając poduszką na łóżku. Całość agregatu była umocowana do podłogi jednym uchwytem. W razie stukania do zawsze zamkniętych drzwi, jeden ruch i pół obrotu, i prasa wędrowała do kąta nakryta czymkolwiek. Sam proceder wyciśnięcia oleju z ziarna rzepaku, lnu czy słonecznika nie jest taki prosty, ziarno przed podaniem do prasy musi być dobrze pogniecione. Do tego jest potrzebny nieduży agregat, składający się z dwóch walcy uruchamiany za pomocą korby o ruchu dośrodkowym (do siebie) – gniecie ziarno, które sypie się między walce do cylindra i za pomocą mocnej śruby o gwincie płaskim uciskając z dużą siłą na podgrzany produkt oleisty powoduje wyciśnięcie oleju. Olej rzepakowy z mojej prasy był bardzo dobry i smaczny, nadawał się do wszystkiego. Zaufane osoby chętnie korzystały z mojego oleju, szczególnie w karnawale do smażenia pączków lub chrustu. Było to ryzykowne i niebezpieczne, dlatego też robiłem to od godziny piątej rano do godziny ósmej, gdyż w tym czasie nie było jeszcze ruchu ulicznego i nie łazili po drodze żandarmi. Rzepak kupowałem zawsze w magazynie niemieckim i nosiłem w dużej skórzanej torbie. Któregoś dnia idąc z pełną torbą, słyszę że ktoś na mnie woła, przystanąłem, a było to na przeciwko posterunku niemieckiego. Patrząc, sam komendant "fajka", bo tak go nazywano, gdyż zawsze fajkę trzymał w zębach. Słyszę, że krzyczy na mnie "kom, kom". No to idę, a on zagląda mi do torby i pyta: "Was ist das?" Odpowiadam mu: "Das ist fuder für henne" (to jest pasza dla kur) – machnął ręką.

A było i tak, że pewnego razu przywłókł się do mnie do domu. Byłem wówczas w stodółce czyściłem z plew kaszę, którą zrobiłem z prosa. Byłem zmęczony, żona do mnie wpada mówiąc: "fajka do nas

przyszedł i chce się z tobą widzieć”. “Powiedz mu, że węgiel w komórce porządkuję”. Prędko się otrzepałem z mąki, wszedłem do komórki z węglem, usmolilem się i idę do mieszkania. Częstouję go papierosem, mówi, że nie pali papierosów tylko fajkę. Posiedział, pogadaliśmy, wstał i poszedł. Po co przyszedł i w jakiej sprawie, nie dowiedziałem się. Musiał mieć jakiś cel, lecz jaki? Kto to ma wiedzieć. W każdym razie myślę, trzeba się mieć na baczności, licho nie śpi. Prasa, którą wyżej opisałem oddała mi wielką przysługę. Po pierwsze miałem pod dostatkiem zdrowego i wartościowego tłuszczu roślinnego, a poza tym była źródłem dochodu. W żaden sposób nie wyżylibyśmy z tych 50 marek, które żona zarabiała w ambulatorium. I magazynier Sznu-
ra też sobie chwalił mój olej, którego mu nie żałowałem. Któregoś dnia mówi do mnie: “Po co nosić rzepak w teczce, to nie wygodniej wziąć jakąś furę i zabrać większą ilość?”. I rzeczywiście poprosi-
łem Stefana Ćmiela, przyjechał furą, załadowaliśmy kilka worków po 50 kg i oficjalnie mając kwit śmiało pojechałem do domu. Kupno prosa i rzepaku przeznaczone jest na siew, a nie na olej i kaszę, a więc ryzyko pozostawało nadal. Wyrób oleju i kaszy był bardzo praco-
chłonny i zawsze byłem w obawie, czy mnie ktoś nie zdradzi. Wprawdzie na rozum biorąc nasiona te nie mogły wiecznie leżeć w magazynie, gdyż po dłuższym czasie uległyby zniszczeniu, a przy tym i myszy robią ogromne spustoszenie. Biorąc pod uwagę tę okoliczność, wy-
rób z tych nasion kaszy czy oleju nie jest znowu tak wielkim prze-
stępstwem, ponieważ właśnie w ten sposób nasiona te chroni się przed zniszczeniem. Tak myślał magazynier – lecz moje zdanie było inne, mnie to pachniało obozem w Oświęcimiu czy Dachau, a nie chciał-
bym się tam znaleźć. Głównymi odbiorcami kaszy i oleju byli pra-
cownicy Kasy Chorych w Sosnowcu. Co tylko zawiozłem wszystko
wzięli i prosili o więcej. Największe zapotrzebowanie miałem na
wędliny. Tych artykułów tu u nas prawie nie bywało. Rzadko się zda-
rzało, że ktoś tam w ukryciu zabił prosiaka czy cielaka – miejscowi
rozebrali i na tym kropka. Ale jak to się mówi: est modus, in rebus.
Dowiedziałem się, że mieszka w Bolesławiu “Nowa Wieś”, syn mojego

dawnego znajomego i przyjaciela, jeszcze z I-szej wojny światowej, który po wojnie odkupił od rządu majątek po Niemczech. Z chwilą rozpoczęcia II wojny światowej, młody Warwas wraz z rodziną musiał uciekać w nasze strony. Ów młody Warwas, obecnie pracował w papierni w Kluczach jako maszynista kolejowy. Papiernia do wyrobu papieru i celulozy potrzebowała dużo drewna. Tuż za Kluczami była granica rozdzielająca tereny należące do Rzeszy niemieckiej od terenów należących do tzw. Generalnego Gubernatorstwa. Była to tzw. Polska, w urzędach rozmawiano po polsku. Milicja-policja była pseudo-polska, zwana "policją granatową", ponieważ mieli granatowe płaszcze. Tam nie było trudno dostać różnego rodzaju mięsa czy wędliny.

Niemieckie posterunki graniczne pilnowały wprawdzie granicy, wylapywały tzw. szmuglerzy, którzy przynosili różne artykuły mięsne do Rejchu. Otóż ten właśnie Warwas, jeżdżąc codziennie z drzewem, miał możliwość przewożenia nieograniczonej ilości różnych gatunków mięs czy wędlin, mnie także przewoził różne wyroby mięsne. Któregoś dnia mając wyladowaną skórzaną torbę i sporą tekę, świeżych wędzonych boczków i kielbas, czekałem jak zwykle w portierni spółdzielni "Społem" u stróża Dąbka. Nadjeżdża Januszewski autobusem Kasy Chorych z ludźmi na komisję lekarską do Sosnowca. Przystaje, ażeby zabrać ludzi także z Bolesławia.

Przystanek był na przeciwko posterunku żandarmerii, widzę że wychodzi z posterunku dwóch żandarmów, pytają czy mogą się zabrać do Dąbrowy. Ja widząc to, szybko podchodzę do kierowcy mówiąc: "Panie Januszewski proszę mi dać książkę chorych skierowanych na komisję lekarską do Sosnowca". Odebrałem książkę i zacząłem sprawdzać czytając po nazwisku każdego. Po sprawdzeniu zwróciłem książkę Januszewskiemu, wchodząc jednocześnie do wozu. Jeden z żandarmów podnosi się z siedzenia, wskazuje mi, ażebym usiadł, lecz ja machnąłem ręką żeby siedział, ja sobie postoję. Pytają mnie, czy wiem gdzie jest Koszelów, powiedziałem, że wiem i pokażę, gdy dojedziemy. W wozie było ciasno. Gdy się powietrze nagrzało moje wędzone boczki leżące w teczce na półce zaczęły pachnąć.

Widzę, że żandarmi to czują, bo pociągają nosem. Ja wyglądam, ażeby jak najprędzej dojechać do tego Koszelewa.

Nareszcie ujrzałem w dali czerwone kamienice Koszelewa. Mówię głośno: "Hier ist Koszelew, aufstagen". Nacisnąłem guzik dzwonka do Januszewskiego, żeby przystanął. Żandarmi po raz ostatni pociągnęli nosami przyjemny zapach wędzonych boczków i wysiedli, a moje boczki szczęśliwie pojechały dalej.

Bolesławska "koza" – opowiada Józef Paluch

Październikową nocą 1943 roku zostałem zabrany przez żandarmerię na posterunek w Bolesławiu. Było tam dużo ludzi z okolicznych wiosek. Osadzono nas w celach, gdzie siedzieliśmy przez dwa dni. Trzeciego dnia rano wyprowadzono przed posterunek, przeliczono i poprowadzono do Olkusza. Bardzo bolał mnie palec u nogi, bo schodził mi paznokcieć. Zmuszony byłem iść jedną bosą nogą. Idąc wszyscy myśleliśmy o jednym, że prowadzą nas do lasu, by tam rozstrzelać, ale gdy minęliśmy znane miejsce częstych egzekucji w lesie, kamień spadł nam z serca. Byliśmy wyczerpani, gdyż w "kozie" nie jedliśmy. Zaprowadzono nas w Olkuszu do baraku. Tu przyszedł lekarz niemiecki, zbadał nas, podzielono nas na grupy. Grupa, w której ja byłem została zwolniona i kazano nam iść do domu.

Do dzisiaj nie wiem, co się stało z drugą grupą, podobno nikt z tej grupy po wojnie nie wrócił.

Szubienica – opowiada Helena Baran

Gdy wybuchła wojna miałam siedemnaście lat. Zaraz na początku okupacji zostałam zabrana do Niemiec na przymusowe roboty. Do Niemiec wieziono nas "krowiakami". Było tak zimno, że aż przymarzało się do desek, na których siedziałyśmy. W miejscowości Świncin Dork

zostałam przydzielona do niemieckiego gospodarza, gdzie pasłam i doilałam krowy. Za najmniejsze przewinienie Niemcy karali bardzo srogo, aż do obozu lub śmierci. Pewnego razu zabrano nas na wielką łąkę, gdzie przygotowano szubienicę. Kilka godzin staliśmy na deszczu i zimnie. Nagle nadjechała ciężarówka. Z samochodu wyrzucono skrwawionego i pobitego młodego mężczyznę, był to mój znajomy spotkany już przeze mnie w czasie wojny. Wstrząsnęło mnie, łzy cisnęły mi się do oczu, lecz wzruszenie trzeba było stłumić. Komentant żandarmerii odczytał wyrok za kradzież wiaderka ziemniaków. Następnie wykonano wyrok.

Wydarzenie to tak mną wstrząsnęło, że do dzisiaj go przeżywam.

Byłem żołnierzem wrześnie

– wspomina Stanisław Lorek

W 1939 roku po wybuchu wojny zostałem wcielony do wojska. Droga mojej jednostki ciągnęła się od Częstochowy przez Ogrodzieniec i dalej na wschód. Byliśmy pod Lwowem, gdy Niemcy otworzyli do nas ogień z czołgów. Koń mój został trafiony kulą w łeb i upadł, a ja z nim. Karabin mój samoczynnie wówczas wystrzelił, a kula przestrzeliła mi rękę. Do dzisiaj jest ona bezwładna. Po tym wypadku znalazłem się w Tarnopolu gdzie, w szpitalu byłem leczony przez Rosjan.

Okupacyjny ślub – opowiada Janina Leś

W kwietniu 1940 roku brałam ślub. W ślubie uczestniczyło 15 osób, tylko członkowie najbliższej rodziny. W kościele byliśmy około 30 minut. Przy wyjściu z kościoła Niemcy urządzili łapankę. Uczestników zabrali do samochodów i zawieźli na przesłuchanie do jakiegoś wysokiej rangi żandarma. Byłam przesłuchiwana wraz z mężem.

Oficerowi chodziło o miejscowych partyzantów. Dużo wiedziałam o partyzantach, lecz oficer nie się nie dowiedział. Podczas przesłuchania bito mnie i kopano. Z mężem czyniono później to samo. Na posterunku trzymano nas przez cztery dni. Gdy byliśmy już u kresu sił wypuszczono nas. Niemcy coś widocznie wiedzieli, że posiadaliśmy kontakty z partyzantami. Rzeczywiście przechowywaliśmy trzech partyzantów. Było to dwóch dorosłych mężczyzn oraz syn jednego z nich imieniem Jerzy. Był on ciężko ranny. Rany krwawiły, a chory gorączkował. Mąż sprowadził lekarza, również partyzanta. Jerzy mimo to zmarł. Jak się później okazało zmarł dokładnie w dziewiętnastą rocznicę swoich urodzin. Bardzo długo staliśmy w milczeniu nad zwłokami chłopca. Ojciec płakał trzymając rękę jedyne go syna. Stanął przed nami następny problem: co zrobić ze zwłokami, Niemcy przecież nie mogą wiedzieć o tym zdarzeniu. Ojciec chciał pochować syna w Sławkowie, bez względu na to co go może przy tym spotkać. Owinął ciało w białe prześcieradło i wyszedł z nim. Już go więcej nie widziałam. Słyszałam, że przeżył okupację.

Byłem w obozie koncentracyjnym

– opowiada Józef Tomczyk

Zimą 1941 roku zostałem zabrany do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu za samowolną zmianę miejsca pracy. Byłem tam przez rok. Na początku ważyłem 75 kg, gdy wróciłem ważyłem 20 kg. Mówili na mnie żywy trup. Głodowe racje żywności i nadludzki wysiłek. Pracowaliśmy przy wykopach od godziny 6-tej, ale już o czwartej był apel. Najgorszym przeżyciem w obozie było wywożenie trupów dorosłych ludzi i dzieci i ten widok głodnych dzieci penetrujących śmietniki, i celowanie do nich przez SS-manów jak do dzikich kaczek. Te uciekały w popłochu, by po chwili szukać dalej odpadków żywności w śmieciach wywożonych z niemieckich domów.

Na przymusowych robotach

– opowiada Stefan Kondek

Mimo, że byłem jedynym dzieckiem w rodzinie mając 14 lat zostałem zabrany na przymusowe roboty do bauera w pobliżu Opola. Od marca do późnej jesieni praca trwała codziennie od godziny 5-tej rano do godz. 23, a nieraz nawet do 24. Za pracę nie otrzymywaliśmy żadnego wynagrodzenia, jedynie marne utrzymanie. Mieszkaliśmy w piwnicach otrzymując posiłki dwa razy dziennie, rano i wieczorem. Czasami trzy, szczególnie w niedziele i święta. Za najmniejsze przewinienie bito nas. Pracowało nas tam pięcioro: Dwie kobiety i trzech mężczyzn.

Handel kartami żywnościowymi

- opowiada Jan Danecki

Mój młodszy brat Zdzisław miał dwa lata gdy przyszli Niemcy do naszego mieszkania. Brat pokazał im "rózki". Niemiec zdenerwował się i uderzył dziecko. Ja nie mogłem opanować nerwów i kopnąłem Niemca. Zostałem za to zabrany z Podlipia do Sławkowa, wprowadzony do pomieszczenia, tam gdzie obecnie mieści się magazyn mebli, i zostałem tak zbity pasami przez żandarmów, że przez tydzień leżałem w łóżku. Handlowałem kartkami żywnościowymi, by lepiej żyć. Pewnego razu przenosiłem kartki w butach z Podlipia do Sławkowa. W drodze spotkałem żandarmów. Czulem, że grozi mi rewizja. Włożyłem więc do ust. papierosa, śmiesznie musiało to wyglądać, bo byłem dzieckiem, i poprosiłem o ogień. Ogień otrzymałem i dużo papierosów, lecz wszystkie musiałem wypalić na miejscu, aż mi się głowa zawróciła i ledwo doszedłem do Sławkowa. Byłem później chory. Niemcy mieli ze mnie straszny ubaw, a ja strach i chorobę.

Spalono moją wioskę

- opowiada Sławomir Balicki

Wraz z rodziną mieszkałem w czasie okupacji w Trzciance koło Czernej. W pobliżu wioski był obóz wojsk niemieckich. Gdy zbliżał się front wschodni, Niemcy podpalili swój obóz i naszą wioskę, kto z wioski uciekał strzelali do niego. Cudownym wprost sposobem dostaliśmy się do lasu, gdzie przebywaliśmy w bunkrze przez trzy tygodnie. Cały czas trwały walki. Gdy zaczął się palić las, wojska niemieckie opuściły go, lecz żołnierze niemieccy nas zauważyli. Nie mieli jednak czasu by się z nami rozprawić, bo wojska radzieckie silnie nacierały. Trzeba było uciekać z płonącego lasu. Ukryliśmy się w dość wysokim łubinie na szczerym polu, później w kopach siana. Jedliśmy żyto z kłosów popijając bagienną wodą. To najgorsze trwało pięć dni i pięć nocy. Byliśmy kompletnie wyczerpani z głodu i strachu. Czołgając się, dotarliśmy z wielkim trudem do ocalałego domu. Zatraskany ojciec o losy swej rodziny wzdychał tylko, że jeżeli mamy zginąć, to wszyscy razem. Ojciec szukając dla nas bezpiecznego miejsca wpadł do jakiegoś dołu gdzie była słoma i drewno. Tam nas wprowadził. Ku wielkiej uciechu znaleźliśmy tam ogromny "balon" kwaśnego mleka. Rzuciliśmy się na niego. Ktoś z rodziny znalazł kawałek suchego chleba. Trochę pojedliśmy, lecz wszyscy byli tej nocy tak chorzy, że wydawało nam się, że trwa ona wiecznie. Kwaśne mleko było bardzo stare i zepsute, a my bardzo głodni. Ta noc była straszna, w dodatku była burza, pobliskie zabudowania paliły się, czuć było swąd palącego się bydła. W stodole ktoś jęczał, a na podwórzu leżała jakaś kobieta. Okazało się później, że to moja ciocia. Nad ranem przyszli żołnierze radzieccy. Pod świszczącymi kulami zaprowadzili nas do lasu. Małe dzieci nieśli na rękach. Później odwieziono nas na tył frontu do Mielca. W tych lasach, gdzie się schroniliśmy walki trwały jeszcze bardzo długo.

Szaber - opowiada Michalina Piasna

Podczas okupacji chodziłam za granicę, która przebiegała tuż za Olkuszem. Tym sposobem można było trochę lepiej żyć. Było to jednak bardzo niebezpieczne. Pewnego dnia nastąpiła "wpadka". Niemcy nas złapali i wywieźli do obozu w Wadowicach. Ciężko tam pracowałam. Wywoziłam taczkami glazy z rzeki, nawet zimą, często zmoczona. Po pewnym czasie przydzielono mnie do lżejszej pracy. Wyplatałam koszyki z wikliny. Chodząc po wiklinę widziałam leżące trupy ludzi, którzy zmarli z głodu i wycieńczenia. Co pewien czas zabierano transport więźniów do obozów koncentracyjnych. Jakby przeczuwając, pewnego dnia nie wyszłam na poranny apel, schowałam się pod pryzą. Koleżanki moje nie wróciły już z apelu, zostały zabrane organizowanym w tym dniu transportem więźniów do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Niemcy zorientowali się, że nie byłam na apelu. Do końca pobytu w wadowickim obozie pracowałam za karę dużo ciężiej.

Byłem rusznikarzem AK

- wspomina Henryk Czerniak

W czasie okupacji mieszkałem i pracowałem w Zabierzowie, który jak wiadomo leżał w Generalnej Gubernii. W kwietniu 1942 roku wstąpiłem do podziemnej organizacji wojskowej "Błyskawica". Bardzo wzruszającym momentem dla mnie była przysięga. Brało nas w niej udział pięciu. Stół nakryty flagą narodową, godło, krzyż, zapalone świece i leżąca obok obnażona szabla. Ślubowaliśmy wierność Ojczyźnie i walkę z okupantem, aż do jej wyzwolenia. Otrzymałem pseudonim "Osa". Mianowano mnie grupowym, byłem dumny i wzruszony. Na łąkach nad Rudawą przeszedłem przeszkolenie z bronią krótką i automatyczną. Odbywało się to nocami. W dzień normalnie pracowałem w fabryce drutu i gwoździ jako ślusarz. Były tu warunki do

zrobienia czegoś dla organizacji np. zw. pseudogranaty - granaty ćwiczebne, łomy, klucze do rozkręcania szyn kolejowych i inne narzędzia i przyrządy. Oczywiście należało to robić dyskretnie, bardzo ostrożnie, bo wpadka groziła ogromnymi konsekwencjami.

Jedną z ciekawszych prac jakie wykonałem były klucze do zamków niemieckiej zbrojowni. Wykonałem je na podstawie odcisków, które dostarczył mi mój dowódca. Zrobiliśmy udany "skok" na zbrojownię, który dał nam wspaniałe owoce. Zdobyliśmy wówczas sporą ilość broni krótkiej, karabinów, automatów i amunicji. Jeszcze tej nocy, zgodnie z rozkazem, przenieśliśmy broń wraz z członkami mojej grupy do skrytek mieszczących się w różnych miejscach Zabierzowa. Pewnego razu otrzymałem rewolwer kaliber 9mm do przeróbki. Miał jakąś wadę, nie można było wprowadzić naboju do lufy. Z braku technicznych możliwości wykonania tej pracy w domu rewolwer zabrałem do pracy, owinałem go czyściwem i wierciłem. Przyszedł jakiś obcy pracownik z innego wydziału, popatrzył i uciekł. Już nigdy do nas nie przyszedł i nigdy na ten temat nie rozmawiał. Próbę strzelania wykonałem nocą w lesie wieszając na drzewie do spustu przy-mocowałem sznurek, za który pociągałem. Próba wyszła wspaniale.

Był rok 1944, początkiem lata mieliśmy wyruszyć na tereny podgórskie. Nastąpiła zdrada. Gestapo aresztowało dowódcę na teren Zabierzowa i mojego dowódcę Mieczysława Pogana ps. "Błyskawica". Wracając po pracy pociągami z Krakowa do Zabierzowa, zamierzalem ostrzec kolegów. Na nieszczęście na dworcu była łapanka. Szliśmy z kolegą, wtem słyszemy groźne: "Poczekaj!" - krzyczał żandarm niemiecki. Ja zatrzymałem się, mój kolega dopiero na drugie wezwanie. Od żandarma dzieliło nas niskie ogrodzenie. Zażądał dowodów tożsamości. Kolega podał "kenkartę", ja legitymację ukończenia szkoły Baudienst. Znajomemu oddał "kenkartę", mnie długo się przyglądał trzymając dowód w rękę, wreszcie oddał. Zdołałem ostrzec przed łapanką brata mojego dowódcy, który nie wysiadł w Zabierzowie, lecz pojechał dalej, do Rudawy. To go najprawdopodobniej ocaliło. W Rudawie na dworcu przy wyjściu stał konfident z żandarmami,

który wskazywał kogo należy zatrzymać. Zatrzymanych wpędzono na salę rozkazując leżeć na podłodze. Gdy podjechał samochód, by zabrać zatrzymanych, wyprowadzono z sali trzy osoby. Podjęli oni ucieczkę. Jeden z nich obrał zły kierunek i wpadł na żandarmów, którzy otoczyli dworzec. Został postrzelony, upadł na ziemię. Na dworcu i wokół zrobiło się zamieszanie. Pozostali dwaj sprytnie wymknęli się z rąk gestapowców. Gdy gestapowiec zbliżał się do rannego, ten skoczył do niego, lecz padł kolejny strzał, tym razem celniejszy, bo trafiony bezwładnie upadł na ziemię. Hitlerowiec podszedł, złapał go lewą ręką za włosy, a prawą, trzymając w niej rewolwer dobijał rannego nerwowymi uderzeniami w głowę. Następnie wykonał krok do tyłu i oddał jeszcze jeden strzał do swej ofiary. Okazało się później, że ofiarą był dowódca rejonu AK, przedwojenny porucznik Wojska Polskiego. Tego dnia przeprowadzono szereg rewizji, lecz hitlerowcy nie znaleźli naszych schowków z bronią, były one bardzo zmyślnie zorganizowane. Podczas rewizji mojej posesji w Zabierzowie żandarmi zatkali szmatami psią budę, gdyż ogromny owczarek strasznie ujadł na obcych ludzi penetrujących jego podwórze. Nie zorientowali się, że psia buda była właśnie arsenałem broni partyzanckiej. Była wykonana z podwójnych ścianek, między którymi włożona była broń. Po tej obławie dużo współtowarzyszy walki przeszło do partyzantki leśnej w okolicy Miechowa i Podgórze. Ja nie byłem "spalony", co umożliwiło mi dalszą działalność do końca wojny, byłem łącznikiem Wieliczka - Krzeszowice.

Smak chleba okupacyjnego

- opowiada Wiesława Cieślik

Rok 1943 - okupacja. Wojna rozszalała się na dobre, niedostatek i głód. Widząc ciężką pracę matki, jak codziennie kręciła żyto w małym młynku przykręconym do stołu, z którego piekła coś w rodzaju chleba, na który z rodzeństwem nie mogliśmy się doczekać. Mama wynosiła

go na podwórko, żeby szybciej ostygł. Po zjedzeniu takiej kolacji trzeba było czuwać nad nami, czy w zdrowiu doczekamy ranka. Miałam wtedy 12 lat i postanowiłam w jakiś sposób pomóc rodzicom. Dowiedziałam się, że mężczyźni i kobiety ze wsi Laski chodzą za granicę, kupując tam żywność. Przejście było niebezpieczne, często od kul okupanta ginęli ludzie, a dwa dni temu zginęła młodziutka Marysia Kika z Pniaków. Mnie, małej dziewczynki, koleżanki nie chciały zabrać mówiąc, że się rozpłaczę lub ustanę w drodze. Na moje uporczywe prośby jakoś się zgodziły. Zabrałam mały plecak i pieniądze na kupno dziesięciu kilogramów mąki. Wyszliśmy w ciemną, deszczową noc. Idąc "gęsiego" w milczeniu docieraliśmy do punktu granicznego, zaczęło więcej padać, nad nami rozległy się odgłosy grzmotów. Przechodziły od ust do ust słowa: "ostrożnie, cicho, granica". Pod nogami nie śmiał się załamać najmniejszy patyczek. W piersiach zabrakło oddechu, a serce zaczęło się trzepotać jak liść osikowy. Nad ranem byliśmy już po drugiej stronie. Poranne promyki słońca zaczęły oświetlać nieznajomy dla mnie horyzont. Ludzie we wsi krzatali się już przy swoich obejściach gospodarskich. Punkt zbiorowy był u pana Szatana. Gospodyni wydoiła krowy i wybierała się sadzić kapustę za stodołą. Gospodarz był piekarzem, przeplatał w palcach złote jak księżyc bułeczki, a na piecu gotowała się smaczna zupa. Głód zaczął mi dokuczać. Panie, z którymi przyszłam, pomagały przy sadzeniu kapusty, robiły się miłe dla gospodyni, żeby dostać zupy. Zaczęłam słabnąć, w oczach migotały płatki, spostrzegły to panie i poleciły mi czary: obetrzeć się trzy razy popłutą koszulą, nie pomogło, zaczęły polewać w zawiasy przy drzwiach wodę, wymawiając przy tym jakieś dziwne zaklęcia. Nic nie pomagało, czułam się coraz słabiej. Prawie nad zemdloną stały jak cyprysy nad sarkofagiem. Nikt nie pomyślał, że to głód. Nie domyśliły się, by mi podać choć parę łyżek tej zupy. Po odpoczynku zaczęłam myśleć skąd wziąć pieniędzy, żeby kupić choć jedną bułeczkę. Poszłam na wieś i tam napotkałam chłopaka, któremu zaproponowałam kupno mojego pierścionka, który był pamiątką od rodziców. Pooglądał uważnie i dał mi za niego tyle pieniędzy, że

kupiłam u pana Szatana dwie bułeczki. Jedną zaraz zjadłam, a drugą schowałam do plecaka, by zanieść do domu. Zjadłabym je przecież obydwie, ale nie mogłam, w domu czeka głodne rodzeństwo. Zmęczeni i zziębnięci wróciliśmy nad ranem szczęśliwie do naszych domów. Na progu czekała na mnie mama, a w otwartych jej ramionach poczułam się bezpiecznie i ciepło. Białą bułeczką łamali się ze sobą jak opłatkiem wymawiając przy tym życzenia, kiedy będzie można pojeść do syta i czy dożyjemy wszyscy końca tej ciężkiej wojny. Zасыpiając przyglądałam się, jak mama przesypywała swymi spracowanymi rękami białą jak śnieg mąkę.

Ukrywane obrazy - wspomina Antoni Szlęzak

Podczas okupacji hitlerowskiej pracowałem w licznej brygadzie remontującej kościoł. Otrzymałem od proboszcza ks. Skalskiego polecenie przeniesienia obrazów z budynku robotniczego w Krążku i ukrycie ich skutecznie przed Niemcami w kościele. Droga była krótka, lecz niebezpieczna, gdyż Niemcy kręcili się bardzo często ulicą Główną, bowiem w szkole mieścił się ruchliwy urząd gminny. Ulica była patrolowana przez żandarmerię niemiecką mieszczącą się w "Stodołach". Dziwne, że jako 14-letni wówczas chłopak bardzo rozsądnie obmyśliłem plan bezpiecznego przeniesienia obrazów. Na podstawie parodniowej obserwacji, wywęszyłem, że Niemcy udają się na kolację do swego kasyna o godz. 17.30, które mieściło się w suterrenach urzędu gminnego. Postanowiłem więc robić "przerzut" podczas kolacji. Obrazy były rozwieszane na ścianach obszernego pomieszczenia na I-szym piętrze. Przekonany jestem, że były to obrazy muzealne, o ogromnej wartości i bardzo duże, tak, że tylko jeden mogłem zabrać na plecy. Obrazy były opakowane w ogromne płachty. Przenosiłem jeden dziennie, pojedynczo, w pozycji nieco pochylonej tak, aby umożliwić sobie w miarę dogodny chód. Nie wiem czyją stanowiły własność lub kto był ich opiekunem. Mogę jedynie przypuszczać, że było

to mieszkanie Waśniewskich lub Kramarczyków. Obrazy były przechowywane pod podestami drewnianymi przy ołtarzach bocznych. Obrazy były zabrane dopiero w 1948 roku przez księdza z Pińczowa. Miałem okazję wskazać, gdzie się znajdują, gdyż byłem jedną z dwóch osób znających szczegółowe miejsce ich przechowywania. Miałem również sposobność oglądać je dopiero teraz podczas załadunku na samochód. Uświadomiłem sobie o wielkim ryzyku, jakiego podjąłem przenosząc obrazy o tak patriotycznej treści.

Tę podróż zapamiętałem na całe życie

- opowiada Franciszek Żulichowski

“... w Bukownie wysiadłem z pociągu, była już chyba jedenasta. Było zimno. Wszedłem do bufetu, żeby wypić coś na rozgrzewkę, patrzę, wchodzi jeden z żandarmów z Bolesławia nazwiskiem Kock. Widzę, że będę miał niezbyt porządne towarzystwo w drodze do Bolesławia. Nie wypadało mi samemu wypić wódki, więc zwracam się do niego: “Wollen Sie ein Schnaps?” “Ja wohl” - odpowiada. Zwracam się do bufetowej: “Proszę nalać dwa głębsze”. Nalala. “Bitte” - mówię do Kocka. Wypiliśmy. Pytam: “Wollen Sie nocheinmal?”. “Ja wohl” - mówi. Wypiliśmy, jeszcze chwilę porozmawiałem z nim i skierowałem się w stronę przejazdu, bo przez tory nie można było przechodzić. Lecz Kocok powiada, że idziemy prosto przez tory kolejowe. Idąc piechotą w nocy dużo było czasu na rozmowę. Po drodze Kock, nie wiem czy był pod rauszem, bo zaczął mi opowiadać. “Wy Polacy sami sobie szkodzicie. Codziennie jest plik donosów, że ten czy ów zabił cielę czy prosiaka bez zezwolenia. Jeżeli jesteśmy tego dnia na posterunku wszyscy jednej myśli, to najczęściej donosy takie idą do pieca. Lecz bywa, że zdania są różne, to listy wędrują do komisarza i taki człowiek płaci wysoką karę, mięso, jeżeli jeszcze nie sprzedał, podlega rekwizycji. A prócz tego delikwent otrzymuje chłostę, po której

dlugo nie może na tyłku usiedzieć. A bywa i tak, wprawdzie bardzo rzadko, że jeśli się takie wypadki powtórzą, grozi to obozem Auschwitz czy Dachau”. Po tej rozmowie jakkolwiek mieszkańcy Bolesławia mieli go za “Polakożercę”, ja osobiście zmieniłem o nim zdanie”.

Losy polskiej książki podczas okupacji

Już na przełomie 1939/40 roku zimą Niemcy zarządzili przegląd polskich bibliotek. Cenzura niemiecka na teren gminy Bolesław mieściła się w szkole na Skalce. Tam zdążyły liczne zaprzęgi konne ze szkół z Bolesławia, Klucz, Bukowna i innych miejscowości gminy Bolesław pełne książek do cenzury.

Różne były losy tych książek w zależności od ich treści: przeznaczone na przemiał, usunięte kartki, zamazane zdania, wyrazy. Nieliczne tylko wróciły do bibliotek szkolnych.

Byłem świadkiem takiej akcji w Krzykawie. Na polecenie kierownika szkoły Tadeusza Starkiewicza załadowałem z grupą kolegów parę sanek konnych książek z biblioteki szkolnej, które odjechały w kierunku Skalki.

Po kilku tygodniach z grupą kolegów na czele z kierownikiem szkoły udaliśmy się na Skalkę trzema sankami młodzieżowymi, ręcznie ciągnionymi, po książki zwolnione przez cenzurę. Było ich według mojej oceny zaledwie ok. 10% w stosunku do dostarczonych do cenzury.

W roku 1989 przeglądając książki w bolesławskiej bibliotece spotkałem książkę taką jakąś mi bliską, jakbym ją dobrze znał. Tak! to książka, którą czytałem przed 39-tym. Był to “Strzelec alpejski”, książka z biblioteki szkolnej w Krzykawie, świadczy o tym pieczętka na stronie tytułowej. Nie byłoby nic dziwnego w tym spotkaniu z książką po dokładnie pół wieku, gdyby nie zapisana na ostatniej stronie jej historia okupacyjna. Zapisała ją pani Maria Szlęzak z Bolesławia. Historia brzmi: “Książka ta przetrwała okupację u mnie. Książki z biblioteki z Krzykawy były zakopane przed okupantem przez p. Bratka

z Krążku, E. Dukata z Krzykawy i przeze mnie. Ile tych książek było nie wiem dokładnie”.

Domyślam się, na podstawie tej historii, że nie wszystkie książki z biblioteki krzykawskiej były dostarczone do cenzury na Skalce, że część ich skierowano do przechowywania w ukryciu przed okupantem w Krążku, i tam przetrwały okupację.

Okupacyjne sadzenie ziemniaków

- wspomina Wiesława Danuta Cieślik

Podczas okupacji w Hutkach przy leśniczówce sadzono ziemniaki. Furman orał, a za nim osiem kobiet z koszykami, równiuteńko, co druga skiba umieszczało ziemniaki. Robiono to na polecenie nadleśniczego mieszkającego w leśniczówce. Leśniczy to urzędnik Rzeszy niemieckiej, przedstawiciel władzy, więc uzbrojony. Nawet w odróżnieniu od leśniczych, np. “Piórko”, niezły człowiek. Krzywdy miejscowym ludziom nie robił. Sadzenie dobiegało końca i furman zorientował się, że zabraknie ziemniaków. Polecił więc jednej z kobiet udać się z koszykiem do leśniczówki po brakujące ziemniaki. Długo kobieta nie wracała, więc wysłano kolejną. Ale i ta nie wraca, sadzenia nie można zakończyć. W ten sposób kolejno wysłano wszystkie sadzące kobiety. Na polu pozostał tylko furman z koniem. Leśniczówkę opanowali partyzanci i w obawie przed rozpowszechnieniem tego faktu zatrzymywali wszystkich przybywających do leśniczówki, kierując ich do jednej z izb. Partyzanci oczekiwali na leśniczego, który miał wrócić z lasu. Leśniczy wraca z fuzją, otwiera drzwi, widzi dużą grupę stojących obok siebie ludzi. Wtem zza drzwi wyskakuje energicznie partyzant, najprawdopodobniej Halejak z Krzykawy. Ręce do góry! Oddaj broń! Leśniczy zaskoczony sytuacją oddał fuzję. Inny partyzant zabrał go do sąsiedniego pokoju. Tam usadzono go na stołku pośrodku izby. Jaką i gdzie masz inną broń? - rzekł jeden z partyzantów. Leśniczy

jeszcze przez chwilę nie mógł ze strachu przemówić słowa. Wreszcie wykrztusił: "Broń krótką, długą w stodole". Partyzanci zabrali broń i pouczyli wszystkich jak mają zachować się przez najbliższą godzinę po ich wyjściu. Pouczenie polegało na tym, by nie ruszać się z miejsca do chwili, aż partyzanci oddalą się odpowiednio daleko po udanej akcji.

Wspomnienia okupacyjne

- spisane przez Janinę Kubańską na podstawie opowiadania Róży Lemmer - żony Józefa

Był rok 1943, terror niemiecki szalał. Żydów już w zasadzie zlikwidowano. Nieliczni, którzy ocalili ukrywani byli przez Polaków. Pomoc Żydom była związana z ogromnym ryzykiem. Płaciło się za to najwyższą cenę.

W lesie nad Sztołą, w Bukownie-Przymiarkach mieszkała pięcioosobowa rodzina Stefanii i Jakuba Lemnerów. Posiadali tartak i młyn, który na początku wojny został ograbiony przez hitlerowców z maszyn i urządzeń.

W leśnym zaciszu Lemnerowie ukrywali trzy osoby pochodzenia żydowskiego, w tym dwoje rodzeństwa.

9 marca 1943 roku Jakub Lemner wyjechał do Krakowa, pozostała w domu jego żona i dwoje dzieci. Starszy syn Józef w wieku 14 lat był w pracy, pracował w hucie szkła w Szczakowej. W tym czasie wpadła żandarmeria, przeprowadziła rewizję, aresztowano Żydów. Żonę Lemnera wraz z dwójką dzieci, 9 i 11 lat, prowadzono rzekomo na przesłuchanie. Kilkadziesiąt metrów za zabudowaniami padł strzał. Zastrzelona została matka dwojga małych dzieci, którymi zaopiekował się Stareczynowski. Później dziewczynkę, Basię, zabrała na wychowanie rodzina Pietrzyków z Podlipia.

Lemner po tych dramatycznych przeżyciach wkrótce zmarł.

W kilka dni po tragicznym zajściu najstarszego syna Lemnerów

aresztowała żandarmeria. Zawieziono go do Sosnowca na przesłuchanie, bito i torturowano, lecz nie przyznał się do tego, że wiedział o przebywaniu Żydów w ich domu. Wywieziono go po przesłuchaniu do Gross-Rossen. Przebywał następnie w kilku obozach, ale szczęśliwie wrócił po wojnie do domu.

Pacyfikacja Białej

Na terenie gminy Bolesław były częste oblawy. Najtragiczniejsza w skutkach miała miejsce w osadzie leśnej - Biała.

W dniu 15 czerwca 1944 roku osada została otoczona przez liczną grupę SS-Gestapo i żandarmerię z Olkusza, Sosnowca i Bolesławia. W osadzie stacjonował w tym czasie oddział partyzancki "Hardego", który został zaskoczony i zmuszony ogniem karabinów maszynowych do wycofania się do lasu. Wywiązała się walka. Zginął jeden z partyzantów - Adamski Władysław, ps. "Wichrzycki" liczący 22 lata. Po walce gestapo spacyfikowało osadę. Od tej pory do dzisiaj osada nie istnieje. Na miejscu rozstrzelano Czerniaka Mariana lat 56, Nidzińską Bronisławę lat 50, mieszkańca Błędowa Stanka Jana lat 64. Do obozu zabrano leśniczego lasów prywatnych Gdulę Jana ur. w 1875 r. Rodzina dowiadująca się o los Jana, otrzymała odpowiedź, że znajduje się w obozie Gross-Rossen, z którego już nie wrócił. Gestapo nie pozwoliło zabrać rodzinom pomordowanych, lecz nakazano trupy załadować do worków i zakopać na cmentarzu w Bolesławiu. Tylko partyzanta pochowano w trumnie. Mogiły pomordowanych znajdują się obok kaplicy cmentarnej rzymsko-katolickiej.

Wcześniej - przed pacyfikacją - żandarmeria zabrała mieszkańca Białej - Nidzińskiego Antoniego - właściciela tartaku i młyna, podejrzanego o wypuszczenie na wolność więźniów z gminnego więzienia w Bolesławiu. Dokonał tego czynu z członkiem Ruchu Oporu Czerniakiem Leonem ps. "Sosna" z Bolesławia Dąbrówki. Wyrwali oni kłódkę i uwolnili wszystkich więźniów, m. in. dwóch synów Nidzińskich,

Stanisława, który później zginął w partyzantce pod Kozłowem koło Miechowa. Był w oddziale "Zrywa", nosił ps. "Krótki". Drugi syn, Mieczysław, był w tej samej grupie, nosił ps. "Mały". Ojciec ich został zamordowany przez Niemców w nieznanych okolicznościach i miejscu, licząc ok. 56 lat. W wyniku pacyfikacji Biała została spalona, pięć domów mieszkalnych, zbudowania gospodarcze, młyn i tartak. Obecnie znajduje się tu płyta upamiętniająca zajścia.

Wspomnienia okupacyjne Klary Marzec

Tych czasów i przeżyć trudno zapomnieć. Same otwierają się zamknięte kartki wspomnień i skłaniają do refleksji.

W roku 1943 pracowałam w fabryce gwoździ i drutu w Sławkowie. Szylałam pudełka na śrubki i wiązałam szklarski drut.

Aby uchronić się od wyjazdu na przymusowe roboty w głąb III Rzeszy, młodzież masowo garnęła się do pracy w fabryce.

Czasy były ciężkie, ale młodość zawsze ma swoje prawa. Nie brakowało nam pomysłów na psoty, figle i szaleństwa, zwłaszcza na nocnej lub drugiej zmianie, kiedy nie było niemieckiego dozoru.

Pakownia śrub, w której pracowałam, mieściła się przy śrubiarni w pobliżu portierni. Między stolami pakowaczek było dużo wolnego miejsca. Tam urządzaliśmy imieniny z tańcami na wesoło.

Pewnej nocy, w przeddzień Zielonych Świąt nacieliśmy gałęzi z olszyny, ubraliśmy maszyny i wejście do śrubiarni.

O piątej nad ranem przyszedł kierownik - Niemiec, stanął jakby w ziemię wrósł. My, pracowaliśmy jakby nic się nie stało. Zdenerwowany, polecił zatrzymać maszyny, spędził nas do pakowni i pyta: co to wszystko ma znaczyć? W tym momencie wszedł dozorca. Ślązak, uśmiechnął się i rzekł: to już świętujemy? Zielone Świąta, co? Tym sposobem rozładował panujące napięcie.

Za magazynem gwoździ był drewniany mostek na Przemszy. Wieczorem można tam było spotkać zakochane pary. Między innymi

Donka Wronę z Wandą. Niejedna dziewczyna wzdychała, by się z nim umówić. Był to przystojny, wysoki blondyn o zgrabnej smukłej sylwetce. Bardzo inteligentny i miły w rozmowie. Kochany jedynie swoich rodziców. Pracował w magazynie gwoździ.

Rano 24 września 1944 r. gestapo zabrało z pracy Józefa Wójcika, pracownika magazynu i rozstrzelali go w pobliskim lesie. Nikt z nas nie znał przyczyny. Został tylko żal po wspaniałym, młodym człowieku, który pozostawił żonę i osierocił dziecko.

Na drugi dzień Niemcy powiesili olbrzymi plakat, na którym widniała głowa gestapowca i palec położony na usta oraz duże litery P•s•t (co oznaczało milcz).

W dwa dni później spotkałam Donka na placu. Przystanął, na twarzy widziałam smutek i strach. Chwycił mnie za rękę, uścisnął, jak nigdy, i wyszeptał: w przyszłym tygodniu mamy drugą zmianę, to sobie potańczymy. Uśmiechnęliśmy się nawzajem.

Dla niego następnego tygodnia już nie było. 28 września 1944 roku, za przynależność do "Białego Orła" został zamordowany przez gestapo w nadzwyczaj okrutny sposób.

W jego domu rodzinnym i wśród nas zapanowała żałoba. Jego matka zamknęła się w sobie, odwróciła od ludzi i świata.

Część II

Wykazy partyzantów z terenów dawnej gminy Bolesław

Partyzanci z Lasek i okolic przyległych

Północna część gminy Bolesław do której zaliczamy Laski, Hutki, Cegielnię i Karną oraz Kolonię Ujków Nowy była dogodna do działalności partyzanckiej, podobnie jak Bór Biskupi i Starczynów, ze

względu na bliskość lasów oraz mniejszy ruch Niemców. Henryk Czerniak z Lasek opracował tablo partyzanckie Lasek i okolicy zawierające nazwiska z danymi personalnymi oraz fotografiami. Są to wyłącznie partyzanci z Armii Krajowej działającej na naszym terenie najaktywniej.

1. Baldy Władysław ps. "Sarni",
2. Czerniak Bogusław ps. "Strzecha",
3. Czerniak Henryk ps. "Osa",
4. Czerniak Leon ps. "Sosna",
5. Czerniak Stefan ps. "Roman",
6. Dębski Wincenty ps. "Wacek"
7. Gołąb Ignacy ps. "Brzoza",
8. Gołąb Jan ps. "Kukulka",
9. Gołąb Józef ps. "Józef",
10. Gołąb Michał ps. "Wiewórka",
11. Gołąb Mieczysław ps. (?),
12. Halejak Mieczysław ps. "Kasper",
13. Imielski Ignacy ps. "Baran",
14. Imielski Józef ps. "Fajka",
15. Imielski Ryszard ps. "Karol",
16. Jochymek Józef ps. "Groźny",
17. Kaziród Antoni ps. "Osika",
18. Kluczewski Daniel ps. "Kicik",
19. Lekston Józef ps. "Skalny",
20. Łaskawiec Stanisław ps. "Wilk",
21. Łaskawiec Witold ps. "Ryś",
22. Pędras Jan ps. "Wilk",
23. Pęgiel Antoni ps. "Lis",
24. Pągiel Stanisław ps. "Jeleń",
25. Piekoszewski Józef ps. "Słowik",
26. Poczesny Jan ps. "Sygnet",
27. Prusak Natalia ps. "Natalia",

28. Prusak Marian ps. "Józef",
29. Sikora Maria ps. "Maria",
30. Sikora Roman ps. "Szatan",
31. Szlęzak Henryk ps. "Wojtuś",
32. Szlęzak Feliks ps. "Fiołek",
33. Warwas Franciszek ps. (?),
34. Warwas Józef ps. "Czarny",
35. Wasiński Stefan ps. "Wrona",
36. Woźniczko Leopold ps. "Listek".

Wykaz członków Związku Walki Zbrojnej - AK z terenów południowych dawnej gminy Bolesław

W Starczynowie była placówka Związku Walki Zbrojnej AK. Działalnością swą obejmowała Starczynów, Bukowno Osiedle, Tłukienkę i Wygiełzę. Pierwszym jej dowódcą był p. por. Marian Czarnecki ps. "Grot" ur. w 1915 roku. Funkcję tę pełnił do czasu aresztowania w lipcu 1942 r. W niedługim czasie po aresztowaniu został rozstrzelany przez hitlerowców.

Zastępcą dowódcy placówki był p. por. Szymczyk Stanisław ps. "Jacek" ur. w 1912 r. Zawiadomiony o rozstrzelaniu Czarneckiego uciekł do Generalnej Guberni wraz z plutonowym Kołaczykiem Julianem w lipcu 1942 r. Od lipca 1942 r. dowództwo objął plut. Skalski Kazimierz ps. "Orzeł" ur. we wrześniu 1916 r. Funkcję tę pełnił do końca okupacji. Sokołowski Stefan ps. "Stefek" uciekł do partyzantki w 1942 r. Pierwszą drużynę objął Sadowski Władysław st. sierżant zawodowy. Członkami drużyny byli bracia

1. Stopa Jan ur. w 1904 r.
2. Stopa Edward ur. w 1910 r. Prowadzili oni piekarnię i dostarczali chleb do grupy partyzantów "Boruta". Zostali aresztowani w 1944 r. i zamordowani przez hitlerowców.

3. Miech Henryk ur. w 1912 r. Posiadał piekarnię w Tlukience i też dostarczał chleb do grupy "Boruty". Został rozstrzelany 24 listopada 1944 r.
4. Kudera Prosper . Został aresztowany w 1942 roku i zamordowany.
5. Marczyk Władysław. Aresztowany i zamordowany w 1944 roku.
6. Trzcionkowski Antoni - aresztowany i zamordowany w 1944 roku.

Drugą drużyną dowodził kpt. Żurek Jan ur. w 1910 r. ps. "Żuraw". Członkami drużyny byli:

1. Janicki Eugeniusz ur. w 1898 r.
2. Kowalczyk Bronisław ur. w 1908 r. ps. "Radek".
3. Filipek Jan ur. w 1902 r.
4. Kalecińska Anna
5. Rembisz Emilia ur. w 1921 r. ps. "Elżbieta".
6. Urban Marian aresztowany w 1941 r. i zamordowany
7. Głowacka Stanisława ur. w 1907 r. ps. "Hanka".

Wioski Bukowno, Wodaça, Podlipie, Bór Biskupi, Podlesie posiadały własną placówkę. Dowódcą placówki był p. por. Starczynowski Andrzej ps. "Kruk" do aresztowania tj. do wiosny 1942 r. (rozstrzelany). Zastępcą dowódcy placówki był jego brat Józef Starczynowski ur. w 1912 r. Od 1942 r. dowództwo objął Lubaszka Stanisław ps. "Kubasiński" ur. w 1916 r. (Należał podobno do "Wrzosa). Członkowie drużyny I-szej:

1. Makowski Stefan ur. w 1917 r.
2. Starczynowski Edward
3. Kopczyk Józef ur. w 1924 r.
4. Makowski Józef ur. w 1924 r.
5. Szlęzak Jan ur. w 1920 r.
6. Warwas Józef ur. w 1915 r. ps. "Grot"
7. Cebo Bolesław ur. w 1920 r. ps. "Żbik"
8. Klich Edward
9. Wrona Donat ur. w 1924 r. zamordowany 18.09.1944 r.
10. Leś Tadeusz.

Drugą drużyną dowodził Kubański Bolesław. Członkowie drużyny:

1. Cebo Stanisław ur. 1921 r. ps. "Kruczek"
2. Kondek Piotr ur. w 1917 r.
3. Cebo Władysław ur. w 1910 r. ps. "Zminy"
4. Zastawik Mieczysław ur. w 1926 r. ps. "Szybki"
5. Cebo Stanisław ur. w 1921 r. ps. "Kozioł", aresztowany. Wrócił z obozu po wyzwoleniu.
6. Piętka Stanisław ur. w 1920 r. ps. "Broda"
7. Piętka Adam ur. w 1923 r.

Trzecią drużyną do września 1944 roku kierował Sadowski Bolesław ps. "Krzysztof". Pełnił funkcję do czasu ucieczki do partyzantki. Od września drużynę objął Sadowski Edward ur. w 1914 r. ps. "Wiosna"

Członkowie:

1. Śpiewak Józef ur. w 1906 r.
2. Śpiewak Jan ur. w 1910 r.
3. Kubański Władysław ur. w 1924 r. ps. "Hak"
4. Kubański Stanisław ur. w 1920 r. ps. "Mściwy"
5. Sadowski Tadeusz ur. w 1916 r. ps. "Gruda"
6. Dąbek Edward ur. w 1921 r.
7. Skubis Józef ur. w 1915 r. ps. "Buk". Obejmuje dowództwo na Borze Biskupim-Podlesiu po aresztowaniu Starczyńskiego ps. "Kruk".

Czwartą drużyną dowodził Fordynacki Stanisław ur. w 1920 r. ps. "Borowy". Członkowie drużyny:

1. Piętka Stefan ur. w 1911 r.
2. Piętka Tadeusz
3. Probierz Stanisław ur. w 1906 r.
4. Probierz Jan
5. Łaskawiec Leon ur. w 1888 r. zamordowany 24.11.1944 r.
6. Laskowska Iwona (brak danych)
7. Laskowski Waław - 11.09.1944 r. - po rozbiciu grupy "Boruta" uciekł do Generalnej Guberni.

Piątą grupą dowodził Spyra Julian, który zginął podczas walki z Niemcami w Borze Biskupim idąc razem z Armią Czerwoną. Członkowie:

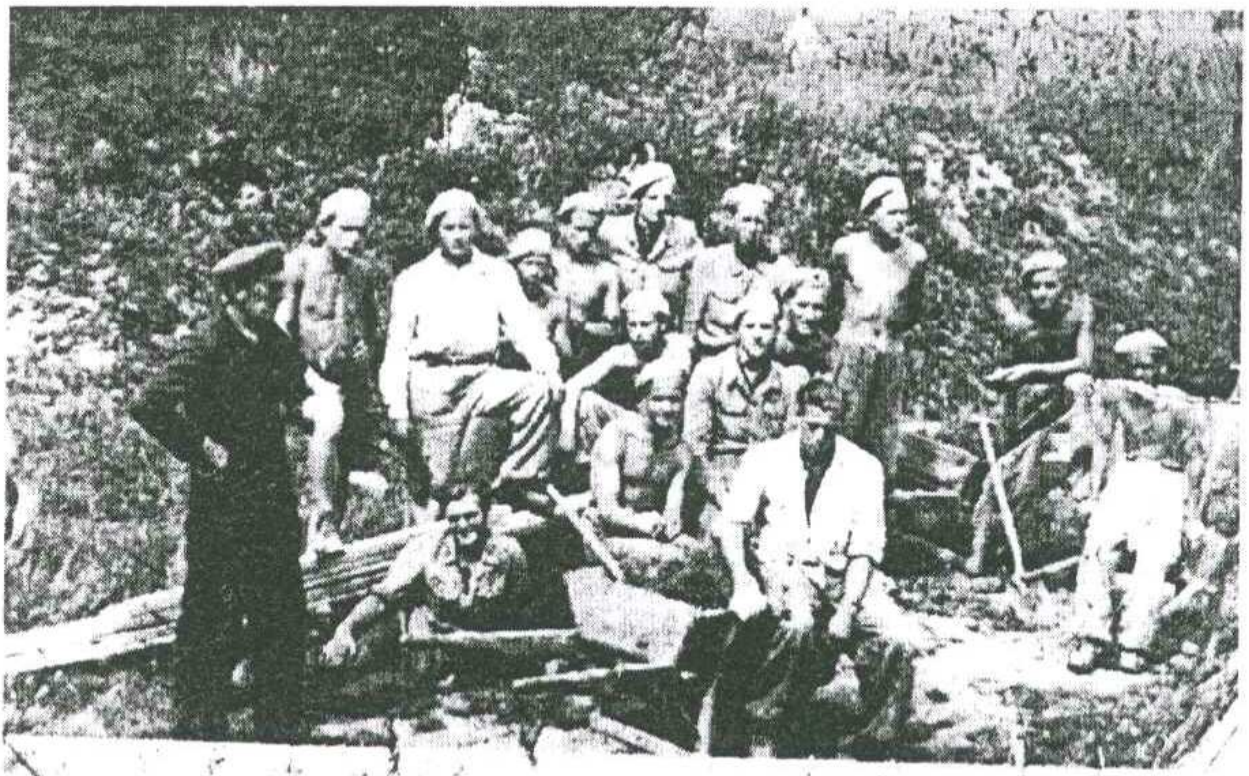
1. Spyra Zygmund ur. w 1926 r.
2. Leś Antoni ur. w 1916 r. zamordowany w czasie pacyfikacji 24.11.1944 r.
3. Piętka Stanisław ur. w 1901 r. zamordowany w czasie pacyfikacji 24.11.1944 r.
4. Musiorski Stanisław ur. w 1910 r. zamordowany w czasie pacyfikacji 24.11.1944 r.
5. Puz Franciszek ur. w 1902 r. zamordowany w czasie pacyfikacji 24.11.1944 r.
6. Stefański Jan ur. w 1901 r. zamordowany w czasie pacyfikacji 24.11.1944 r.
7. Cebo Seweryn ur. w 1912 r. ps. "Sroka"

Szóstą drużyną dowodził Spyra Antoni (sołtys wsi Bór Biskupi) aresztowany i zamordowany w 1944 roku. Członkowie:

1. Labisko Stanisław ur. w 1902 r. zamordowany w czasie pacyfikacji 24.11.1944 r.
2. Sikora Benedykt ur. w 1903 r. zamordowany w czasie pacyfikacji 24.11.1944 r.
3. Dąbek Władysław (brak danych)
5. Pietrzyk Józef (brak danych)
5. Spyra Franciszek ps. "Sojka", aresztowany i zamordowany 19.12.1944 r. Dąbek Józef prowadził sklep, dostarczał żywność grupie "Boruty", zamordowany 24.11.1944 r.



"Krwawa Środa" w Olkuszu dnia 31 lipca 1940 roku.



Henryk Czerniak z Lasek na przymusowych robotach w kamińskim - pierwszy z prawej (*drugi - to Karol Wojtyła - obecnie papież Jan Paweł II*)

Aneks

List gończy żandarmerii niemieckiej równy wyrokowi śmierci

W piśmie Posterunku Starczynów z dnia 5 września 1943 r., dziennik nr 300/43 znajduje się wykaz poszukiwanych zbiegłych Polaków "z powodu popełnienia czynów podlegających karze, względnie na podstawie rozkazów aresztowania i należy je zatrzymać". Na liście figurują: Stanisław Dąbek urodzony w Borze Biskupim, Bronisław Feliksik urodzony w Podlisiu, Jan Filipek urodzony w Jangrocie, Tadeusz Knapczyk urodzony w Zagórze, Marian Kluczewski urodzony w Olkusz - za ucieczkę z więzienia w Bolesławiu w dniu 12 marca 1943 roku, Julian Kołaczyk urodzony w Starczynowie, Stanisław Lekston zamieszkały w Ujkowie Starym, Piotr Mystek urodzony w Starczynowie - za ucieczkę z obozu karnego Blechhanner pow. Cisel, który ma do odbycia 4 lata więzienia, Jan Rozmysławski z Boru Biskupiego, Józefa Rozmysławska również z Boru Biskupiego, Stanisław Szotek ze Starczynowa, Stefan Sokołowski, Jan Stopa, Antoni i Stanisław Szymczyk, Aniela Wąs ci ostatni zamieszkali w Starczynowie. Aniela Wąs ma jeszcze rok i cztery miesiące do odbycia w obozie karnym. Stanisław Zagala z Dąbrowy Górniczej.



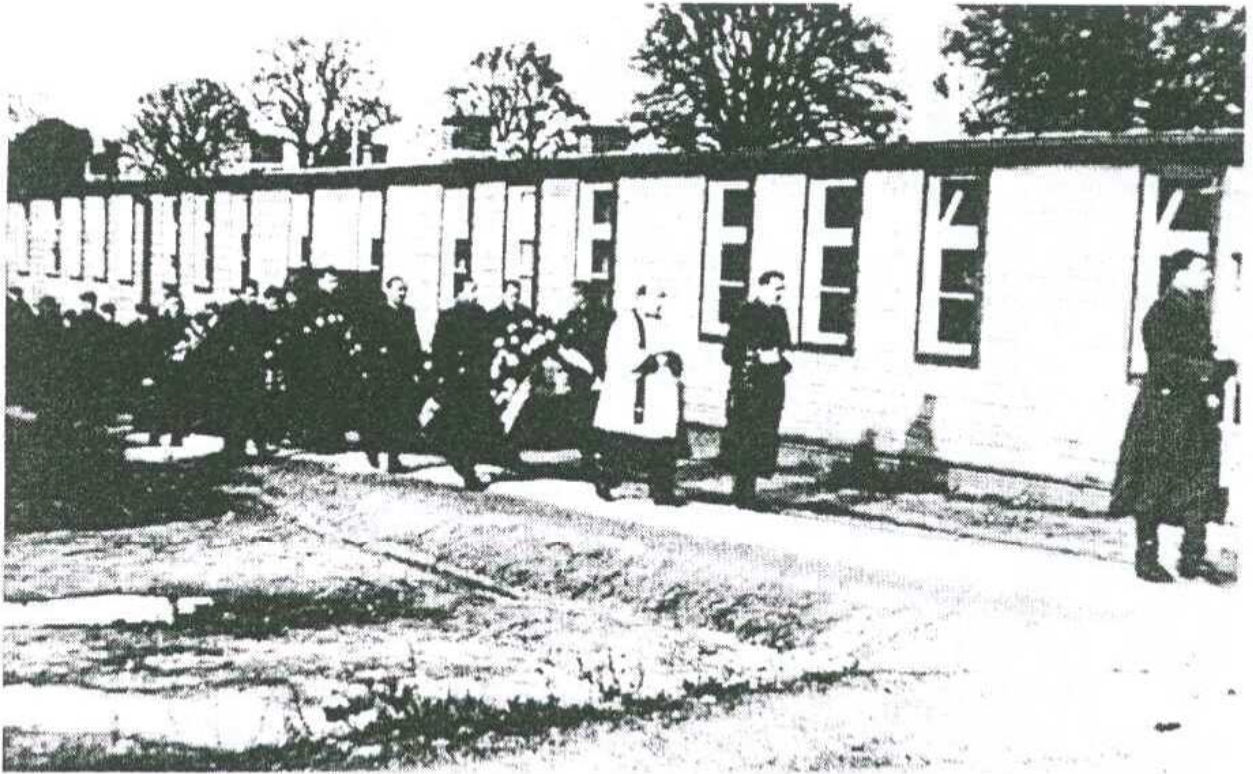
Jan Szumera z Bolesławia w Oflagu



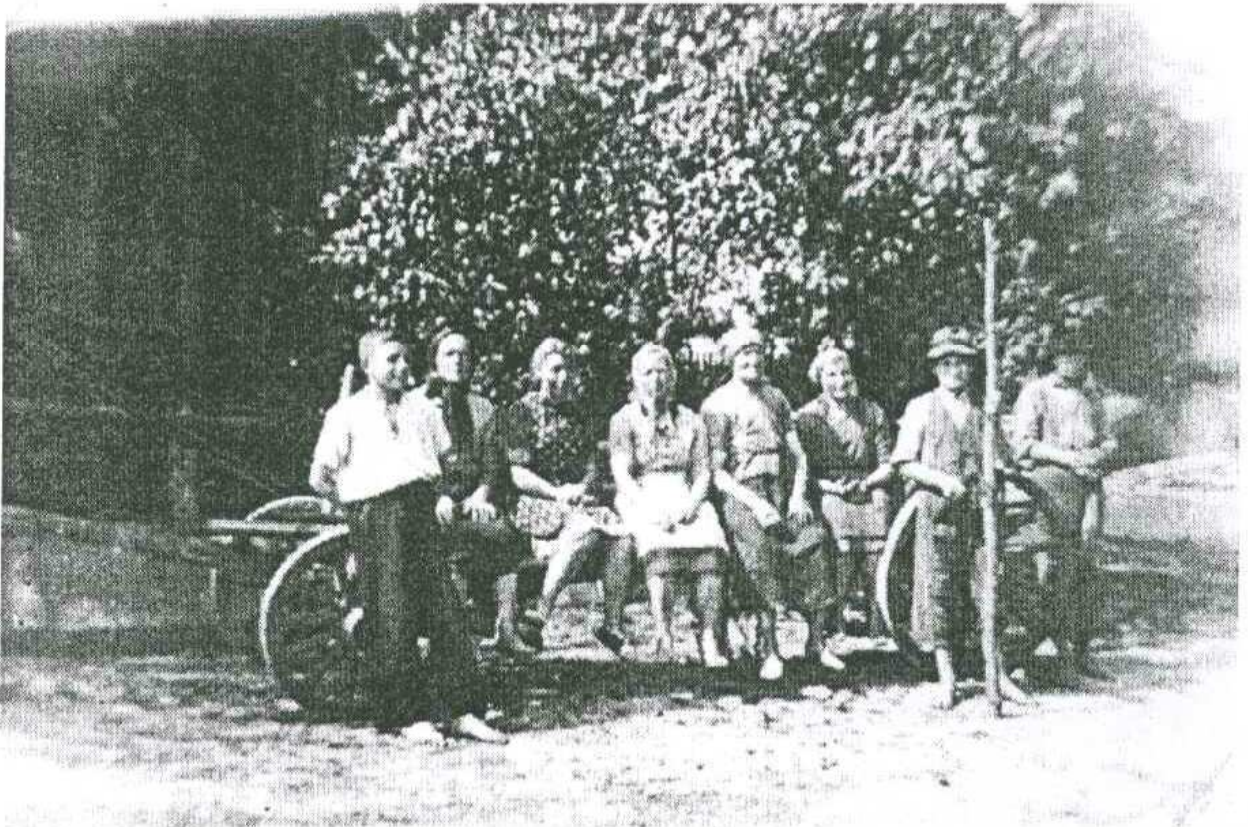
Spędzanie wolnego czasu w Oflagu



Żołnierze polscy podczas pracy w Oflagu (*drugi siedzący od prawej Jan Szumera*)



Pogrzeb Polaka w Oflagu



Grupa Polaków na przymusowych robotach u "bauera" w Krzykawie
(pierwszy i drugi od prawej i trzecia od lewej, to Niemcy)



Po lewej - Sylwester 1939 r. spędzany w Oflagu (*pierwszy od lewej Jan Szumera*)

Na dole po lewej - Polacy w gminnym areszcie w Bolesławiu (*od lewej Środula z Bolesławia, Jan Szlęzak i Jan Gołąb z Lasek*)

Na dole po prawej - Gerard Woźnica Dowódca Oddziału "Hardego"



Wykaz podstawowej literatury i materiałów źródłowych do "Zeszytów..." 2, 3, 4

1. Henryk Czerniak - "Kronika Lasek i Ochotniczej Straży Pożarnej", rękopis z oryginalnymi fotografiami.
2. Grund - und Grundstücksteuer - Hebeliste 1944
3. Jan Kantyka - "Na Jurajskim Szlaku", Śląski Instytut Naukowy, Katowice 1977 r.
4. Jan Kantyka - "Na szlaku Orlich Gniazd", Wyd. Śląsk, Katowice 1974 r.
5. Jan Kantyka - "Sławków w latach okupacji hitlerowskiej 1939 - 1945", Śląski Instytut Naukowy, Katowice 1984 r.
6. Feliks Kiryk i Ryszard Kołodziejczyk - "Dzieje Olkusza i regionu olkuskiego", PWN, Warszawa - Kraków, 1978 r.
7. Księgi meldunkowe Gminy Bolesław z okresu 1918 - 1950 r.
8. Krzysztof Miszczyk - praca dyplomowa pt. "Oddział "Hardego"
9. Rękopisy i maszynopisy wspomnień okupacyjnych mieszkańców wiosek Gminy Bolesław i najbliższej okolicy (prace ankietowe z 1989 r.).
10. Wywiady przeprowadzone przez autora z naocznymi świadkami wydarzeń podczas II wojny światowej.
11. Gerard Woźnica - "Oddział "Hardego". Wojskowy Instytut Historyczny, Warszawa 1981 r.
12. Gabriela Zubowa, Lesław Mentlewicz - "Krwawa środa 1940", Obywatelski Komitet Porozumienia Narodowego i Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Olkuskiej, 1983 r.